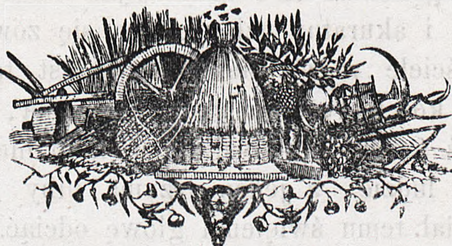
Tom XIII. Nr. 4.
1. sierpnia 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Jakób.

Gromada polska Markówka ma ludzi dobrych, pobożnych, co to dbają o swoje budynki, aby był porządek koło domu jak się patrzy, ale stoją oni także i o swój kościół i o cmentarz, aby też i dom boży nie był u nich ostatni. Boć powiadają oni sobie:

— Jak chcesz człeku poznać, jacy ludzie na wsi, to wstąp do kościoła i popatrz tam na ołtarze i na ściany, a jeżli niema tam gromnicy na ołtarzu, ani organów dobrych, to możesz na pewnika powiedzieć, że to lud niedbały albo jaki grzeszny — tak samo idź na cmentarz i jak zmówisz paciorek za dusze nieboszczyków, pooglądaj tam groby i krzyże i ogrodzenie, a jak tam nie ma porządku, to wtedy nie myśl sobie, że są pobożni ludzie w tej wsi.

I dobrze sobie myśleli gazdowie z Markówki i gadali prawdę, bo gdzie na wsi polskiej są chałupy ladaco i opuszczone kościoły i cmentarze, tam nie ma ani pobożności, ani dobrego rozumu, ani też błogosławieństwa boskiego.

Toż gospodarze z Markówki jak porobili porządek na wsi i w kościele i na cmentarzu, wtedy wyfundowali razem z panem i xiędzem szkołę, ale bo to i szkoła, jak dworek jaki, a profesor piśmienny i akuratny człowiek co się zowie.

W ich kościele w wielkim ołtarzu jest tam stary obraz podarowany do kościoła od nieboszczyka pana, a na tym obrazie klęczy jakiś święty nito biskup, a koło niego stoją znowu jacyś niedobrzy ludzie, a jeden trzyma niby topor w prawej ręce, jakby chciał temu świętemu głowę odciąć.

A mająci gazdowie z Markówki jeszcze taki zwyczaj u siebie, że jak zaczynają żniwo w lecie, to robią takie wieńce małe z kłosek i przynoszą do kościoła na ofiarę, a potem po skończonem nabożeństwie schodzą się do dworu, tam oddają panu i pani jeden taki wieniec, a potem mają od pana bankiet z muzyką. A ten bankiet odbywa się u nich zawsze w sam dzień św. Jakóba, gdzie u nich wielki odpust. Na taki odpust i bankiet po nabożeństwie schodzą się ludzie i dziady z całej okolicy.

Otoż była tam na tym odpuście tego roku między dziadkami jedna jakaś staruszka, w jakiemś czarnem ubraniu od stóp do głowy, na piersi koronka długa, opasana pasem św. Franciszka, a znowu u szyi wisiał obszywany szkaplerz. A to ubranie jej czarne było od prochu aż białe, bo widać z daleka przyszła na odpust. Przez całe nabożeństwo klęczała ona i leżała krzyżem przed wielkim ołtarzem, a po nabożeństwie opatrzyła cały kościół i wyszła z kościoła i mówi do gazdów:

— Wy widać nie źli ludzie w tej wsi! macie i chałupy niezłe, ale za to kościół pomalowany, z obrazami aż miło się pomodlić — macie tu i organy dobre i spiewacie ładnie i cmentarz w porządku, a to znowu co takiego? co to za dworek taki?

— To szkoła gromadzka nowa — rzekli gazdowie.

— I to bardzo potrzebne na wsi, aby się wasze dzieci uczyli Boga poznawać, mówi im babusia, a potem pytała ich dalej:

— To wy tu macie odpust na św. Jakóba i święcicie jakieś wianeczki ze zboża — bo ja widziałam także, że w innych gromadach święcą ziele i takie wieńce aż na matkę bożą Zielną, ale to dobrze robicie, bo to trza każdą robotę zaczynać z Bogiem,

robić z Bogiem, i kończyć z Bogiem, jeżli Bóg pozwoli życia na tyle.

A gazdowie powiadają jej na to:

— My i na matkę bożą Zielną to samo robimy, jak się żniwa wielkie przewalą, ale z dziada pradziada sprawia nam tu dziś dwór taki bankiet z muzyką, a są tam we dworze i xięża wszyscy odpustowi i tam dostają dzieci nasze różne obrazki od pani samej, albo orzechy i jabłka, a my starsi zabawiamy się uczciwie bez żadnej obrazy Boga i bez pijatyki razem z dziećmi.

— I to nie źle, rzecze babusia, bo tego nie trza zarzucać, jeno nie trza Boga obrażać. Ale wy pono nie wszyscy znacie tego wsiowego patrona, a ja to znam dokumentnie, bom była tam; gdzie jest grób tego św. Jakóba, gdzie leży jego św. ciało, ale to bardzo daleko ztąd. ja już idę ztamtąd blisko trzy lata i wstępuję po drodze wszędzie na cudowne miejsca i przyszłam też i do was, aby się pomodlić i wyspowiadać na odpuście i pójdę sobie dalej do domu i....

A gazdowie słysząc to poderwali ją tak:

— To wy widać chodzicie tak, jak my na Kalwaryę albo do Częstochowy naszej i musieliście dużo świata widzieć, toż nam gadajcie co i o grobie naszego św. patrona Jakóba, a my posłuchamy.

A pobożna babusia jęła tak opowiadać:

— O moi dobrzy! Szczęśliwy ten, kto się trzyma zawsze pana Jezusa i robi tak jak On każe. Toż i św. Jakób miał taki dobry rozum. Miał on dobrego ojca i taką samą matkę, a dobrzy ojcowie nie zmarnują nigdy swego dziecka rodnego ani cudzego. Ojciec św. Jakóba był ubogiego stanu, mieszkał sobie w świętej ziemi, co ją zwiemy Galileją, a gdzie to najwięcej nauczał Pan Jezus i sprawiał cuda. Taki ojciec dobry nie krzywdził nikogusienko na świecie bożym, jeno pracował, a co sobie zarobił temi dziesięcioma palcami, z tego żył sam i żywił swoje dziatki.

— A to miał on jeszcze więcej dzieci? pytali gazdowie.

A miał kilkoro, jeno dwoje udało się mu najlepiej, i to synowie — pierwszy był ten sam św. Jakób, a drugi był młodszy św. Jan, co to opisał cały żywot p. Jezusa, a potem opiekował

się Najświętszą Panną i umarł ostatni z apostołów, a przeżył blisko 100 lat. Toż widzicie ojciec tych dzieci, miał mały kawałek roli i trudno mu było wyżywić tyle ludzi z małego kawałka — ale on umiał robić siecie i saki na ryby i był do tego rybakiem, co się zowie. A jak wiecie, że dzieci zwykle robią to samo, co ich ojciec, toż i Jakób św. wyuczył się robić siecie na ryby i pomagał ojcu we wszystkiem koło domu i przy każdej robocie. Ale dobry ojciec nie robi w niczem żadnego oszukaństwa i tak samo uczy i swoje dzieci, toż i ojciec św. Jakóba jak ci zrobił sieć lub sak taki na ryby, to tam były nici jak drut mocne, a oczka były zrobione doskonałe, a jak sobie kto kupił od niego taką sieć, to on go nigdy na jeden grajcar nie przeciągnął, a znowu jak sobie kto zamówił u niego, to mu zrobił na czas i nie chybła tam ani godzina, aby kto darmo czekał i czas mitrężył przez niego.

Toż widzicie, taki ojciec zapobiegliwy miał zawsze na tyle chleba, że mu się w domu nie przelewało, ale nie było tam i przednowku. A gdzie w chałupie pracują wszyscy szczerze i uczciwie, tam jest zawsze czem się przyodziać i pożywić, bo dobrych nigdy Bóg nie opuszcza. Jeno dobry ojciec pamięta także i o nauce dobrej dla dzieci i daje wyuczyć, co jeno można. Toż św. Jakób miał taki przykaz od ojca, aby po robocie skończonej coś sobie przeczytał, napisał, a osobliwie aby sobie czytał pismo święte. A znowu był za młodu ciekawy tak, że jak mu kto jeno co dobrego powiedział lub go do czego dobrego zawołał, to ci rzucił robotę a robił co lepszego, bo mu ojciec gadał zawsze:

— Widzisz moje dziecko! trza myśleć o odzieniu i jedzeniu, a jak to jest, to trza pomyśleć i o duszy, bo dusza warta coś więcej od ciała.

I św. Jakób, jak jeno wyrósł na tęgiego chłopaka, jak jeno posłyszał o tem, że p. Jezus chodził po ziemi i nauczał, to ci zaraz po robocie leciał duchem do Pana Jezusa i słuchał nauki i nie zdrzymał ci się, choćby i całą noc przy rybach nie spał.

A gazdowie słuchając tego zapytali:

— A co to był on za rodak, ten św. Jakób?

— On był, mówiła babusia, żydem z urodzenia, gadał po żydowsku, stroił się tak samo, ale jak jeno powiedział mu Pan Jezus, aby przystał do niego i został z żyda chrześcianinem, to on dorazu przystał sam i co jeszcze, namówił do tego i swego młodszego brata św. Jana i oba przeszli i zostali potem apostołami, a za to tak ich Pan Jezus polubił, że im pozwolił najbliżej siebie siadać i brał ich wszędzie ze sobą.

— Ho ho! zawołali gazdowie, a cóż robił bez nich ojciec na stare lata, toć przyszło mu umierać z biedy potem? kto robił na niego potem?

— A co wy też bajecie, rzecze babusia, toć jakież by tam było serce u ojca, jeżliby zabraniał swemu dziecku na dobre, albo jeżliby mu żałował dusznego zbawienia? toż i ten ojciec został zbawiony sam za to, że pozwolił synom żyć i robić dobrze, że im pozwolił porzucić siecie i rolę i pójść do Pana Jezusa a potem zostać apostołami.

— A to ten św. Jakób był apostołem? spytali ludzie.

— Taże był, rzecze babusia, i to przystał on trzeci zaraz od samego początku do Pana Jezusa, chodził trzy lat nieodstępnie z Panem Jezusem tak, że już odtąd jeno się uczył i uczył, a o rybach ani pomyślenia nie miał, był też na weselu w Kanie z Panem Jezusem i tam widział cud, jak się woda zamieniła w wino, był znowu na górze Tabor i widział przemienienie Pańskie, był w domu jednego bogatego, któremu Pan Jezus wskrzesił umarłą córkę, był i przy innych cudach, a po pańskiej wieczerzy wziął go Pan Jezus na górę oliwną i do Ogrojcu, a potem jak mu przypadło apostołować, to sobie tak ułożył:

— Mam dużo swojaków, toż milsza mi moja ręka, niż cudza i milsza mi dusza swojaków, niż obcych ludzi, pójdę też najpierw do swoich nauczać, a gdy oni nie zechcą mię słuchać, to dopiero wtedy udam się do obcych i tam będę uczył słów Pana Jezusa.

— No! i cóż zrobił takiego? zapytali gospodarze.

— A coby złego, rzecze babusia, zrobił jak się patrzy — tam gdzie było najwięcej niedobrych między swojakami, gdzie byli najwięksi bezbożnicy, co zamęczyli św. Szczepana, tam on został i nauczał.

— A czy go też usłuchali? pytali ludzie.

— Ale gdzie tam zły człowiek usłucha co dobrego, mówi babusia, toż i ci bezbożnicy w mieście Jerozolimie nie wiele słuchali, a co gorzej zmawiali się i buntowali na św. apostołów i chcieli ich wyłapać do jednego i wybić tak, aby ani znaku po nich nie zostało.

— O dla Boga świętego! zawołali gospodarze, a cóż tam za rozum taki u ludzi głupich, aby aż nauczycieli boskich ścigać, toż tacy niewartali już niczego na świecie bożym.

— Otoż widzicie, rzecze babusia, i św. Jakób jak pouważał, że nic nie wskóra między swojakami, to poszedł hen! daleko gdzie słonko zachodzi, aż do pogan, do Hiszpanów i tam między takimi poganami lepiej mu poszło, niż u swojaków, bo fundował zaraz parafie różne, fundował kościoły, a wyuczył sobie tak niektórych, że ich św. Piotr wyświęcił na biskupów. Ale zawsze mu było strasznie żal i markotno za swojakami, bo to co swojak, to zawsze bliższy i milszy, toż i św. Jakób wrócił po długim czasie do swojaków do Jerozolimy, darował im z serca dawne urazy i znowu zaczął ich nauczać.

— No! to go pewnikiem usłuchali teraz? pytali gospodarze.

— A gdzie tam usłuchali! — rzecze babusia.

— No! to cóż mu zrobili? pytali dalej.

— Co zrobili, to zrobili! rzecze babusia — oto sami prosili swego króla, aby św. Jakóba kazał złapać i zabić.

— A król co? czy usłuchał ich? boć pono król ma lepszy rozum na takie rzeczy — mówili gospodarze.

— O! bo to i król nie był lepszy od nich, rzecze babusia, niedługo się namyślał, kazał św. Jakóba złapać i uciąć mu toporem głowę, a to było w sam dzień Wielkanocny. Toż macie i tu na waszym obrazie w ołtarzu wymalowane wszystko do imienia, jak go ci bezbożnicy i to swojaki zabili toporem. A widzicie, że lepsi byli tamci pogani Hiszpani, gdzie to nawracał św. Jakób, bo jak się dowiedzieli o tem, to zaraz jakie sto mil przylecieli i zabrali ciało św. Jakóba i tam u siebie pochowali w kościele w mieście Komposteli, a zabrali oni sobie to św. ciało akurat w lipcu o tym czasie, toż z tej racyi mamy św. Jakóba na same żniwa u nas w polskim kraju.

— Aha! gadali ludzie, to teraz rozumiemy, co to był ten św. Jakób i na co to przypada jego święto w same żniwa.

A babusia zapytała potem:

— A kto mi zgadnie to jeszcze, na co to te wieńce ze zboża i takie bankiety po dworach dla was podczas żniw?

Na co jej powiadają:

— Ot zabawki takie z dawien dawna — ale więcej ludzie rozpustują na tych zabawkach we dworze, i więcej obrazy Boga niż pożytku.

A babusia powiada.

— Widzicie! te wieńce ze zboża, jakie robią Polacy z samych kłosek i dają święcić a potem niosą do dworu albo i do xiędza z muzyką i śpiewaniem i tam się zabawiają, są starodawną pamiątką od naszych pradziadków i my tego zarzucać nie mamy, jeno nie trza zbytkować pijatyką i bitkami. Od dawnych czasów dał Bóg Polakom dużo ziemi od morza do morza, od Krakowa hen po za Lwów i po góry węgierskie — na tej ziemi dał Bóg dużo lasów, dużo wody z rybami, dużo łąk dla koni i bydła, a najwięcej gruntów na zboże, a to wszystko było dla Polaków dane z nieba wysokiego. Otóż nasi pradziadkowie nie byli żadnymi cyganami i szachrajami, jak są po dziś dzień żydzi, nie byli kupcami, jeno każdy miał swój grunt, na gruncie żył i Boga chwalił a za ziarno miał wszystko, co mu w chałupie było potrzeba. Toż grunt i chleb były całą pracą dziadków naszych. Jak przyszła wiosna i robota w polu, to się nasi pradziadkowie weselili i Bogu dziękowali za pierwsze ciepłe słoneczko, a jak znowu koło św. Jakóba nadeszły żniwa, to oni znowu weselili się i Boga chwalili po kościołach, a potem obnosili wieńce z pierwszych kłosek po całej wsi i sprawiali sobie bankiet razem z dworami. A takie bankiety zowią się do dziś wieńczyny, wieńcowiny i to od wieńców kłosianych, albo też obżynki od żniwa.

— Aha! rzekli gazdowie, to teraz wiemy, na co to te bankiety u nas. A teraz zostańcie z Bogiem!

I rozeszli się, babusia w swoją stronę, a ludzie do dworu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Modlitwa Sierot.

Panno święta, my sieroty
Przychodzimy z wielkim płaczem,
Przed niebieskie twoje wroty,
Czy cię Matko nie zobaczym?
I wołamy matko droga,
Zapłacz ty naszemi łzami,
Proś za nami Pana Boga,
Panno zlituj się za nami!

Łaskawemi rzuć oczyma
Nad nieszczęsną swą gromadką,
Dla nas nigdzie wsparcia nie ma,
Matko Boża bądź nam matką.
Bez schronienia, bez okrycia,
Nieświadomi ludzkiej drogi,
Ach! my już ostatkiem życia
Upadamy przed twe nogi

Ty wiesz panno nad pannami,
Jak to trudno żal wysłowić,
To powiemyć wszystko łzami,
Krwią i łzami będziem mówić.
Pani świata, Matko Boża,
Na leżące spojrzyj w prochu,
Słyszysz Ty o gwiazdo morza,
Pękającą pierś od szlochu?

Widzisz Ty o rajska różo,
Przyodziana w zorzę jasną,
Jak się nam niebiosa chmurzą,
Jak od płaczu oczy gasną?
Macierzyńskie Twoje czucie
Czyż nie wzruszą dzieci łkania,
Czyż nie słyszysz w naszej nucie
Że to straszny jęk konania?

Od tak dawna pieśń tęż samą
O te same wtórzym słowa,
Otwórz się o rajska bramo,
Jasna wieżo Dawidowa!
Liljo! rozwiej czucia wonie,
Różo! liść twój roztocz złoty,
Panno! ściągnij Twoje dłonie,
Matko! okryj swe sieroty!

Na wzburzonych wód otchłani,
W cieniach tracąc sił ostatki,
Niech nie błądzą jak bez Pani,
Niech nie giną jak bez matki. . . .

T. L.

Polska po swym upadku.

IV. Wielka wojna z Moskalami.

Wszystkie narody słuchały Napoleona jakby swego pana: Włochowie, Hiszpani, Szwedowie, Turki, Niemcy, Moskale, Ale choć go z bojaźni słuchali, radzili jednak skrycie, jakby się to najprędzej jego panowania pozbyć. Jedni Anglicy, co byli z Napoleonem w bezustannej kłótni, a nie łatwo mu ich było zawojować, bo angielski kraj, to wyspa do koła oblana morzem. Anglicy sami doskonale umieją okrętami po morzu pływać i wojować, boć inaczej nigdzie nie mogą się dostać. Francuzi zaś nie tacy dobrzy wojownicy na morzu jak na ziemi, więc

choć się już skradali na pobicie Anglików, to im się nie powiodło. Gniewało to bardzo Napoleona, że tego jednego kraju upokorzyć nie może, więc bierze się do takiego sposobu. Anglicy są bogaci, ale nie z roli, bo u nich nie tyle ziemi urodzajnej co w Polsce, jeno z rzemiosł i z kupczenia. Są też pracowitymi aż do zbytku, bo dziecko zaledwie chodzi, a już mu rodzice każą obracać jakie kółka u maszyny, aby sobie zarabiało. Wszyscy się kręcą jak mrowisko, posyłają swoje roboty do cudzych krajów, tam je sprzedają, a za pieniądze kupują w obcych krajach zboże i tak żyją. Zakazuje więc Napoleon, aby nikt się nie ważył angielskich towarów kupować, ani na odwrot swego zboża im przedawać. Wyrządził tym sposobem nie małą psotę Anglikom, powstała u nich wielka bieda i ucisk. Ale i inne kraje na tem cierpiały, bo nie miały gdzie sprzedać, ani zkąd wziąć wielu bardzo potrzebnych towarów. Wszystko więc, co trzeba było kupić podrożało, a co przyszło sprzedać, potaniało; najciężej już było w krajach moskiewskich, bo to lud do rzemiosł mało sposobny, więc też ich car kazał im potajemnie z Anglią handlować. Patrzał Napoleon na to przez szpary, umyślił jednak w czasie Moskwę ukarać za takie nieposłuszeństwo.

Już upłynęło blisko trzy lata, jak było Xięstwo Warszawskie; Polacy wypoczywali sobie trochę po krwawych wojnach, a choć kraj biedny i zniszczony, zakładali szkoły nietylko po miastach, ale w miarę możności i po wsiach, aby się i chłopi oświecali. Prawa, któremi się rządzili, były bardzo za wolnością i równością między wszystkimi ludźmi, więc też oprócz powszechnej biedy nie było żadnego uciemiężenia i przewodzenia jednego nad drugim. Krzątali się też Polacy jak mogli, znosili ciężary bez szemrania, wesoło im było, bo wciąż żyli w oczekiwaniu, że przecież coś pewniejszego i lepszego dla Polski nadejdzie.

Patrząc na to wszystko car moskiewski Aleksander zaczął też troszkę folgować Polakom, co byli pod jego rządem, chcąc im przez to pokazać, że i pod nim mogą żyć tak szczęśliwie jak i pod Napoleonem. Nie kazał już brać na Syberyą, pozwolił zakładać szkoły, przypominał im sam nie raz, że są Pola-

kami, i mawiał: że jeżeli mu będą wiernymi, to zrobi królestwo polskie i zostanie ich królem. Polacy wydziwić się tej odmianie nie mogli i miarkowali, że ta dobroć udana nie na próżno. Tak też i było — bo car potajemnie gotował się przez trzy lata do wielkiej wojny, więc chciał, żeby Polacy z nim trzymali i jemu wiernie służyli. Kiedy już car widział, że dosyć urosł w siłę, kazał swoim Moskalom, aby jawnie do Anglii sprzedawali, i od Anglików napowrot towary skupowali. Szle Napoleon do niego posłanników, upominając go o dotrzymaniu tego co przyrzekł, bo inaczej przyjdzie do jego kraju z wielkiem wojskiem. Car odpisał: „Przyjdź cesarzu! niech płynie krew ludzka!“ I na rozkaz cesarza Francuzów i cara moskiewskiego miliony ludu gotowało się do boju, aby się mordować, broczyć we krwi i ginąć dla ich woli.

Roku 1811. ukazały się na niebie ogniste znaki, na które lud patrzał z przerażeniem przez wiele tygodni, bo widzieli oczywiście znak Boży, że jak na niebie tak i na ziemi krwawo będzie. Niedługo też wyruszył Napoleon na czele 500 tysięcy wojska, prowadząc ze sobą półtora tysiąca armat, a koło mięsopust 1812. roku wstąpił na ziemię Xięstwa Warszawskiego. Byli w tem wojsku Włochowie, Hiszpani, Francuzi, Austryacy, Prusacy i inne narody niemieckie, bo na rozkaz Napoleona wszyscy wojska dostawiali. Jak świat światem po drugi raz dopiero ludzie tyle wojska na raz widzieli. Wszystko się to waliło przez naszą biedną Polskę, gdyż Napoleon ochraniał kraje ojca swojej żony cesarza, bo wiedział, że gdzie tyle wojska przejdzie, tam ciężko rość i trawie. Oj była też to nędza i zniszczenie! Gdzie przeszedł Francuz, albo Włoch to to jeszcze pół biedy, bo się obszedł z Polakiem jak z bratem, pożywił się czem było, podziękował i poszedł dalej. Ale Niemcy rabowali, niszczyli, zagrabiali wszystko, jak w nieprzyjacielskim kraju, a lud prosty widząc, że to napoleoński żołnierz, przeklinał za to rabusiostwo Francuzów, bo owe Niemcy często udawali Francuzów, chociaż po francusku nie umieli chyba klątwę jedną i drugą.

Choć ponosili takie ciężary, krzątali się jednak Polacy koło zbierania własnego wojska, którego dostawili 85 tysięcy, aby

jeno pobić co najprędzej Moskwę, a odebrać, co swego. Zebrał się też sejm w Warszawie i okrzyknął Polskę całą i niepodległą, wzywając braci będących jeszcze pod obcym rządem, aby się z nimi łączyli.

Dowiedziawszy się Napoleon o tem kazał Polakom powiedzieć, żeby o tej części, co przypada Austryi wcale nie myśleli, a on sam nie może jeszcze Polski uznać przed światem wolną i niepodległą, bo nie wie co po bitwie wypadnie, czy ją samym Polakom do rządzenia odda. Martwiła Polaków ta nieszczerość Napoleona, ale się z tego cieszyli, że już ich teraz poddawać Moskwie nie może, jak to po dwa razy zrobił.

Szło a szło to wojsko napoleońskie przez Xięstwo Warszawskie; a było na co i patrzyć, bo to lud zebrany ze wszystkich narodów, co najzdrowszy i najdorodniejszy; a u jednych mundury ślicznego koloru, jak modraki, drudzy w zieleni, jak w maju, inni ciągną na siwych koniach w czerwieni, jak jagody jarzębiny, inni znowu biali, szarzy, czarni i jakie jeno kolory na świecie — wszędzie trąby, bębny, muzyka, chorągwie, świecących się od złota jenerałów, xiążąt i królów.

Patrząc na to wszystko, aż się w oczach ćmiło i mięszało w głowie, żeby rozpoznać i pamiętać, z jakich krajów te wojska, jak się nazywają ci bogato wystrojeni xiążęta i jenerałowie. Ciągnęło to wojsko przez wiele tygodni, nakoniec w wilią św. Jana Chrzciciela, to jest 24. Czerwca przeszło rzekę Niemen, a w kilka dni potem wjechał Napoleon do stolicy Litwy, Wilna.

Wojska polskiego szła większa część z Napoleonem pod dowództwem xięcia Poniatowskiego; reszta poszła pod jenerałem Dąbrowskim na zdobywanie różnych fortec.

Wojsko napoleońskie już na ziemi Litewskiej poczęło doznawać niedostatku, bo tu nikt naprzód o jego żywieniu nie radził, więc bez ładu zabierał żołnierz wszystko, aby wyżywić siebie i konia. Siekli oziminy na paszą, zaledwie jeszcze wygrane zabierali zboża i inwentarze, tak, że pierwsi co przeszli mieli do zbytku, drudzy mieli dostatek, trzecim już się nie wiele co okroiło a reszta zastała głód i nędzę. Niedługo też wkradły się między ludzi i konie choroby i wnet wszystkie domy, gdzie przechodzili, pełne były chorych żołnierzy, a drogi

zasłane zniszczonemi końmi. Wszyscy już z tego widzieli, że to nie ten Napoleon, jak kiedy toczył wojny za całość swojej Ojczyzny: wtedy o wszystkiem naprzód pomyślał, a żołnierz sam porządku i karności przestrzegał.

Tracąc tak żołnierzy po drodze, zbliżał się Napoleon do wojska moskiewskiego, które stało gotowe do bitwy. Niedługo bawiąc, zbił ich Napoleon, a oni poczęli się spiesznie cofać, niszcząc za sobą kraj i żywność. Dotarł Napoleon za nimi pod dawne miasto polskie Smoleńsk i tu się rozpoczęła krwawa batalia w dwa dni po Matce Boskiej Zielonej, to jest 17. Sierpnia. Wiele tysięcy ludzi tu padło, bo samych naszych Polaków do dwóch tysięcy, ale Napoleon ze wszystkiem batalią wygrał i Moskale tak nocą uchodzili, że po nich ani znaku. Po tem wielkiem zwycięztwie rznie się Napoleon ku stolicy Moskali, które to miasto nazywa się Moskwa. Ale wojska co dzień mu ubywa, ludzie i konie marnują się z niedostatku, już go prawie i połowy nie masz, bo gdzie Moskale przeszli, tam trudno pożywienie znaleść, tylko wsie i miasta popalone, a w nich ludzie zgłodniali i nędzni. Pilno więc Napoleon spieszy do Moskwy, bo to miasto wielkie, starożytne i bardzo bogate; posili się tam wojsko i wypocznie sobie przez całą zimę. Jego żołnierze wszyscy to powtarzali, i nie jeden słaby i chory, dobywał ostatnich sił, byle się jeno dowlec do Moskwy. Kilka mil przed Moskwą, pod miastem Mozajskiem, wielkie wojsko moskiewskie zachodzi im drogę. Rozpoczyna się krwawa i zacięta bitwa o jakiej mało kto słyszał, bo Moskale bili się z ostatnią rozpaczą, gdyż wiedzieli: że jak Napoleon wprowadzi swoje wojska do Moskwy, a to sobie wypocznie, na ten czas już po wszystkiemu, bo zwojuje cały kraj. Ale biło się i napoleońskie wojsko zażarcie, aby się jeno dostać do Moskwy, boć nie chciało z głodu i chorób wyginąć do szczętu, a biło się lepiej niż Moskale, bo zwyciężyło. Zginęło w tej bitwie Moskali do 50 tysięcy, a napoleońskiego wojska do 20 tysięcy. Polacy bili się już najodważniej, a xiąże Józef Poniatowski przed nimi na czele. Przypinał im też po bitwie Napoleon swoją ręką krzyże, a kiedy objeżdżał pobojowiska, to widział: że gdzie leżał zabity Polak, to koło niego położeni byli trupem trzej albo czterej Moskale.

Po tej wielkiej wygranej pod Mozajskiem uradowane wojsko spieszyło do Moskwy, a tymczasem w tem mieście straszne się rzeczy działy. Po bitwie pod Mozajskiem przełożony jenerał nad miastem Moskwą, nazwiskiem Roztopczyn kazał popsuć wszystkie sikawki i co jeno potrzebne do gaszenia ognia, przytem kazał wywozić wszystkie carskie kosztowności, poszeptał z bogaczami miasta, ci także co najspieszniej swoje bogactwa wynosili, a potem kazał sprowadzić na jeden wielki dziedziniec wszystkich rabusiów, złodziejów i rozbójników, jacy jeno po więzieniach siedzieli i powiada im: iż ich wypuszcza na wolność na to, ażeby zapalili miasto po wszystkich stronach. Złodzieje ochotnie na to przystali, boć sobie zaraz myśleli o rabunku. Niedługo też cała Moskwa stanęła w płomieniach, lud z krzykiem i wielkią żałością uciekał z miasta patrząc, jak się marnują jego dostatki, tułając się bez dachu po drogach i lasach. Przytem rozlegał się w powietrzu jęk 20 tysięcy rannych moskiewskich zołnierzy, którzy żywcem w płomieniach ginęli. Uczynił to zaś ów Roztopczyn z zajadłej złości na Francuzów, aby się im miasto nie dostało inaczej, jeno spalone.

Z drugiej strony wojsko napoleońskie, jak by piorunem rażone wchodziło do Moskwy. Rzuciło się do gaszenia, ale zaledwie w jednem miejscu ogień przydusili, już w drugiem miejscu wybuchnął. Nadeszła noc, a nowych tysiące ogni powstawało. Widziało wojsko, jak podpalacze rzucili z wież ogniste wieńce pod drzwi i schody kamienic zapalone drzazgami, a najwięcej domów ledwie węglem dotknęli, już się paliły, bo były drewniane. Był tam płomień, dym, gorąco istnie jak w piekle; łapali Francuzi podpalaczy i karali śmiercią, ale niepodobieństwo było ognia ugasić, tak się rozszerzył. Po czterech dniach z tego pięknego i bogatego miasta, zostały tylko pustki i resztki niedopalonej żywności między gruzami domów.

Żywność, którą Francuzi w Moskwie znaleźli, wystarczyła na pożywienie wojska, było jeszcze i dosyć wygodnego miejsca na wypoczynek, ale jakże myśleć o zimowaniu w spustoszałem mieście, kiedy nikt nie dowoził żywności, kiedy nie było ni ubrania, ni obuwia, ni żadnej potrzeby dla wojska. Tak przesiedzieli przeszło miesiąc, a Moskale wojska sprowadzają i

rozkładają w około, nie było więc już co czekać, jeno wyruszyć, bo żołnierz napoleoński najwięcej z ciepłych krajów, więc niewytrwały na zimno. Umyślił Napoleon cofnąć się do Litwy, tam się wzmocnić, wojsku wypocząć, i na zpozimek rozpocząć z Moskalami. Zaszli Napoleonowi drogę Moskale pod Małym Jarosławiem, zbił ich porządnie, ale cóż kiedy droga, którą wracał była ta sama, co szedł do Moskwy, więc wszędzie pustki, nigdzie żywności. Widząc też Moskale, że mu w bitkach nie podołają, wzięli się na sposób, żeby go męczyć dzień i noc. Ledwie Napoleona wojsko stanęło, już strzały, już się nieprzyjaciel ukazuje; ledwie jeść zaczęli gotować, stawaj do broni; skoro wyjechali po żywność na okolice, już im Kozacy drogę zachodzą i staczaj boje o każde odrobinę żywności, a do tego wszystkiego co dzień mrozu przybywa, i to tak nagle, że tydzień bo Wszystkich Św. 8. Listopada już 18 stopni było. Mróz taki, że ludzie nie wyspani, głodni i odarci zaczęli marznąć po drodze. Przytem powstały i mroźne zawieruchy, wiatr spędzał śnieg na kupy w opłotkach i po drogach, czego na życie żołnierze z ciepłych krajów nie wiedzieli i nie umieli sobie w tej biedzie poradzić, bo tu nie znać ani drogi, ani rowu: wszystko zawiane i zrównane. Ponuro szło wojsko skostniałe od zimna, kierując się tylko za armatą utknioną pod śniegiem, za resztkami wozów i zdechłych koni, co się czerniały na białym śniegu, jakby ślady śmierci.

Okropny to był widok, jak ten piękny i rześki niedawno żołnierz, teraz odarty i zmizerniały bił się tu przy lichem ognisku i zjadał na pół upieczonego kawał końskiego mięsa. Tak się wlekli aż do rzeki, co się zwie Berezyną. Było to krótko przed adwentem, bo 26. Listopada. Nie szeroka ta rzeka Berezyna, ale bardzo bystra, bo choć był taki wielki mróz, to na środku nie zamarzła, jeno brzegami. Nie było więc innego sposobu, tylko mosty stawiać. Wpośród ognia armatniego wystawili Francuzi dwa mosty i poczęli przechodzić. Moskale rozpoczynają bitwę, a wojska napoleońskie jedne się przeprawiają, a drugie odpierają nieprzyjaciół. Wszystko szło jak najlepiej póki był dzień, ale z nadejściem nocy łamie się jeden most, a wtedy wszystko ciśnie się na drugi, a każdy chce przechodzić

jak najprędzej, każdy chce być pierwszym. Poczynają się więc kłótnie, a nakoniec najstraszniejsze bijatyki. Spychają jedni drugich w zlodowiaciałą rzekę, konnica walczy z piechotą, większe armaty i wozy gniotą mniejsze, mocniejszy depcząc słabszego idzie po jego ciele; most się pod ciężarem ugina, krzyki i jęki spadających i rozgniatywanych rozlegają się w powietrzu. O był to istny dzień sądny, kiedy jeszcze ze wschodem słońca Moskale na pozostałych poczęli sypać gęsto armatnim ogniem! Puszcza się więc pozostałe wojsko przez rzekę, wielu ginie pod lodami a reszta po stosach ciał ludzkich i końskich przeprawia się na drugą stronę, paląc most za sobą. Było to wojsko polskie, co przechodziło po trupach rzekę i zasłaniało do samego końca żołnierzy przez most przechodzących. Xiąże Józef Poniatowski ciężko tu był ranny, a snadnie się dorozumicie, co tu zginąć musiało najodważniejszych i najbitniejszych Polaków.

Tymczasem kiedy Napoleon tak nieszczęśliwie zaszedł do Moskwy i wracał, austryackie i pruskie wojska, co miały wojować Moskali po skrzydłach napoleońskiego wojska, dla tego same sobie były zostawione, maszerowały tylko nie zaczepiając Moskali, ani Moskale ich. Teraz po przejściu Berezyny, Austryacy cofali się spiesznie do xięstwa Warszawskiego i nawet zostawili Moskalom magazyny w mieście Mińsku, a było w tych magazynach żywności przynajmniej na pół roku dla 100 tysięcy żołnierza. Prusacy zaś wypowiedzieli Napoleonowi przyjaźń spisawszy zgodę z Moskalami; król pruski niby się to o tę zdradę na swoich jenerałów gniewał, wziął jednak 60 tysięcy karabinów, co mu Moskale po Francuzach podarowali, i nie długo zawarł z Moskwą na dobre przyjaźń i dał im swoje wojska na pomoc. I cesarz austryacki poszedł też niedługo w ślady króla pruskiego i połączył się z carem moskiewskim.

Napoleon ruszył teraz do Paryża, drąc się przez wszystkie niemieckie kraje z jednym tylko jenerałem saneczkami, a stanąwszy na miejscu, zbierał jak najpospieszniej wojsko, aby wyruszyć na Moskali, którzy szli w te tropy za resztkami uciekających jego żołnierzy.

Wróciło do Warszawy polskie wojsko nie tak bardzo wynędzniałe jak francuzkie, boć Polak zwyczajny mrozów i śniegów, więc nie tak zaraz miarniał. Ale z tych 85 tysięcy zaledwie 24 tysiące było przy życiu, a z tych mało który bez rany. Waleczny jenerał Dąbrowski na wylot miał rękę przestrzeloną, nie bacząc jednak na ten ból ciała, bo sroższe męczarnie ponosił w sercu, wyruszył do krajów niemieckich, gdzie miał bój rozpocząć z Moskalami.

Litwę zaraz też Moskwa teraz zagarnęła, i szła prosto na xięstwo Warszawskie, a przed nią uchodziły biedne Francuziska, przemarzłe, kulawe — ubrane nie raz w chłopskie siermięgi, miejskie fraki, xięże rewerendy, w kobiece salopy, szuby wełniane, fartuchy, a czasem nawet w kościelne ornaty i kapy. Mocniejsi i karniejsi szli w porządku wojskowym razem nierozprószeni, i ci po wiele razy dobrze Moskali strzepali, skoro ich tylko zaczepili, ale słabsi i bardziej wynędzniali szli pojedyńczo, a tych Polacy rozgrzewali, karmili, wyciągali co mieli, a odziewali i dając co mogli, na drogę wyprawiali dalej, bo Moskale szli, a zabierali do niewoli. Zaraz też po tej wielkiej wojnie xięstwo Warszawskie pełne było moskiewskiego żołnierza a car co prędzej rządy tu swoje zaprowadził.

RÓŻNOŚCI.

Stary żołnierz. W Krzeszowicach pod Krakowem żyje kmieć staruszek, mający 100 lat prawie, co służył jeszcze w wojsku polskiem pod panem naczelnikiem Kościuszką i był w owej sławnej bitwie pod Racławicami, gdzie to zuchy kosyniery tak walnie skropili Moskala. Owoż do tego staruszka jeżdżą zewsząd panowie rozmaici nawet z dalekich stron, aby widzieć tego może już i ostatniego na tym świecie Kościuszkowskiego wojaka i pogwarzyć z nim o dawnych czasach i bojach. Niedawno jeden malarz, co się zwie Grabowski, odmalował go pięknie na płótnie i posłał ten obraz do Krakowa, gdzie był na wystawie. Teraz zaś znowu pojechał do Krzeszowic drugi sławny malarz polski, Franciszek Tepa i także chce odmalować tego sędziwego staruszka. Oj! niedługo już jeno kilka lat, a już chyba na obrazkach będziemy widzieli Kościuszkowskich żołnierzy, bo ich już prawie wszystkich powołał Pan Bóg z tego świata!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.